

665

Pokryte ziekonym sukrem stoły. Na ścianie portret Emilii Plater. Vis à vis niego — znane słowa kanclerza Zamajskiego: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie jej młodzieży chowante...”. Po prostu — zwyczajny pokój nauczycielski.

W takim właśnie miejscu i w takiej scenerii rozgrywa się akcja „Egzaminu”. Na widowni temperatura równie gorąca jak na scenie (bardzo tu zresztą umownej). Mała sala warszawskiego Teatru Ochoty rozżarzona da azerwonosci. Również i wtedy, gdy skończy się spektakl, a rozpocznie dyskusja. Właśnie ona ujawni w całej pełni, jak dalece przedstawienie przemawia do sumienia widzów. Jak mocno ich niepokoi. Jeszcze bowiem nie ucichną oklaski, a już płynie cała lawina uwag i opinii.

— Cóż, nie da się ukryć, że to bardzo gorzka, ale jednak prawda...

— Sztuka pokazuje doskonale „anatomie strachu”: tego naszego małego strachu — choćby przed jakimkolwiek narażeniem się zwierzchnikowi...

— Tu jest przede wszystkim problem kompromisu: autor zmusza do zastanowienia się nad tym, co jest jeszcze kompromisem, a co już tylko zwykłym oportunistem.

— To jest dla mnie rzecz o wyborze — a przecież wszyscy i ciągle — choć nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę — musimy wybierać.

— Jeśli tak istotnie wyglądają rady pedagogiczne, jeśli taka jest atmosfera w szkole...

— Chodziło chyba o pokazanie problemu, o zaprezentowanie postaw. Równie dobrze rzecz mogłaby się dziać na przykład w zakładzie produkcyjnym albo gdziekolwiek indziej...

A więc — jak wynika choćby z przytoczonych powyżej wypowiedzi widzów — mamy do czynienia z przedstawieniem ważnym, ze sztuką, która podejmuje podstawowe problemy moralne:

kwestię uczciwości wobec samego siebie, granic kompromisu. Która mówi o najważniejszych wartościach etycznych: prawdzie, sprawiedliwości, uczciwości, odwadze...

By jednak zorientować bliżej czytelników w problemie, który tak mocno bulwersuje widzów Teatru Ochoty — kilka informacji o sztuce, no i naturalnie — króciutkie jej streszczenie. Otóż autorem „Egzaminu” — bo taki właśnie nosi ona tytuł — jest znany publicysta, krytyk teatralny i dyrektor Teatru Starego w Krakowie, Jan Paweł Gawlik. Sztuka powstała jeszcze w 1964 roku, ale jej prapremiera odbyła się dopiero kilka miesięcy temu w Teatrze Nowym w Łodzi. Z kolei zainteresował się nią właśnie Teatr Machulskich, jak nazywany jest powszechnie warszawski Teatr Ochoty. Scena wybierająca zawsze pozycje o ważnym problemie społecznym i moralnym, gorące, kontrowersyjne. Pozycje mogące wywołać żywą dyskusję. Bo po każdym spektaklu odbywają się tu właśnie takie dyskusje, stanowią one integralną część wieczoru w Teatrze Ochoty.

A teraz — króciutkie streszczenie sztuki. Otóż akcja dzieje się w miasteczku powiatowym (naturalnie, w dawnym podziale administracyjnym), Rzecz idzie o uczennicę, córkę sekretarza Komitetu Powiatowego partii. Właśnie odbywa się rada pedagogiczna, poświęcona dopuszczeniu do ma-

tury. Wszyscy dają Malawskiej — bo tak właśnie nazywa się owa uczennica — oceny pozytywne i tylko młoda polonistka stawia zdecydowanie dwóję. Dyrektor i inni nauczyciele zaczynają jej tłumaczyć: że nie powinna, że to dla dobra szkoły, że postępując w ten sposób, zaszkodzi bardzo sobie samej... Ale polonistka jest nieugięta. Zjawia się więc w szkole naczelnik powiatu — najpierw łagodnie tłumaczy upartej nauczycielce, a potem grozi. Ale i on nic nie wskóra. Wreszcie pojawia się w szkole sekretarz partii, zaalarmowany przez swą córkę, której rada pedagogiczna postanowiła — w tej sytuacji — zrobić „dyplomatyczny” egzamin z polskiego (to właśnie ten tytułowy „egzamin”). Jest zaskoczony, gdy dowiaduje się od polonistki, jak wygląda naprawdę sprawa jego córki, bo zawsze mu mówiono, że wszystko jest w porządku. Nie sądził więc, że może być aż tak źle. Nie wie też nic o naciskach w stosunku do polonistki, czynionych w imię jego „autorytetu” i „autorytetu partii”...

Takie zatem sprawy podejmuje sztuka Gawlika. Za pośrednictwem takiej akcji zmusza do spojrzenia w głąb siebie. Nic przeto dziwnego, że przedstawienie wyreżyserowane przez Jana Machulskiego spotkało się z niezwykle żywą reakcją. O jej sile powie szczególnie wiele fakt, iż tuż po premierze „Egzaminu” przyszedł do naszej redakcji jeden z

widzów, by wyrazić swoją — powiedzmy: mocno negatywną — opinię o sztuce.

— To są złośliwe inwektywy, kierowane ze sceny pod adresem środowiska nauczycielskiego, to jest po prostu ośmieszanie szkoły — dowodził mocno oburzony.

A był przy tym tak rozemocjonowany, tak bardzo wypełniony oburzeniem i tak dalece pewny swej racji, iż w tej sytuacji nawet nie próbowałam przypomnieć tej, tak bardzo oczywistej prawdy, iż gdybyśmy takie właśnie kryteria stosowali do poszczególnych dzieł sztuki, to właściwie żaden dramat, żadna powieść, żaden film — nie mogłyby się ostać. Zawsze bowiem mogłaby się znaleźć grupa odbiorców, która powie: to jest przeciwko nam, przecież nasze środowisko jest zupełnie inne...

Nie znaczy to jednak, iż sądzę, że przedstawienie w Teatrze Ochoty powinno wywołać tylko same zachwyty. Skądże! Sama mam sporo pretensji do autora. Ot, na przykład za to, że nie ustrzegł się pewnych schematów i tonacji czarno-białych, że stanowczo za mało zindywidualizował poszczególnych członków Rady Pedagogicznej, że nie był zbyt konsekwentny w poprowadzeniu głównej bohaterki...

Lękam się jednak zawsze takiej reakcji, która cała zamyka się w oburzeniu. No, bo wtedy już wcale nie sztuka nas interesuje, nie to, co w niej rzeczywiste jest i co z niej wynika lub może wynikać, tylko nasze święte oburzenie... No, bo z takiej reakcji nic wartościowego i sensownego, nic konstrukcyjnego wyniknąć chyba nie może...

Wracając jednak do warszawskiego „Egzaminu”, trzeba koniecznie dodać, iż dowodem dużego oddźwięku tego przedstawienia jest także dyskusja redakcyjna, jaką zorganizowały „Kulisy” (nr 48/1976). A nieczęsto się przecież zdarza, by pismo nieteatralne organizowało dyskusję redakcyjną o jakimś spektaklu. A oto, co cie-

kawsze zdania zaczerpnięte z tej rozmowy:

— Mam wrażenie, jakby ktoś zawołał o tę sztukę. O tę prawdę zielonych stolów, przy których odbywa się rada...

— W warszawskim przedstawieniu stanęła mi w oczach tak dobrze mi znana, tak bliska, Polska powiatowa. Tam padają słowa, zdania całe, które słyszałam i które sama czasem musiałam powiedzieć...

— Myślę, że sztuka jest także formą walki z kumoterstwem, protekcją...

— Sztuka trafnie zahacza o problem ludzi, którzy zaangażowani w pracę zawodowej czy społecznej, tracą z pola widzenia swoich najbliższych, swoje dziecko.

— Coś w tym jest, że ludzie unikają sytuacji, w których powinni powiedzieć osobom reprezentującym władzę, że z tym czy z tym jest niedobrze.

— Konstatacja części widzów w rodzaju: „samo życie” jest dość jalowa. Mam wrażenie, jakbym przeczytała jeszcze jeden reportaż o tym, że kogoś gdzieś wykończono, ktoś sprawiedliwy dobrowolnie zrezygnował z walki...

— Obraz jest znanadto czarno-biały, rysowany zbyt grubą krechą. Bo czy życie jest aż tak schematyczne?

— ...To jest publicystyka własnie! A jak publicystyka — to i powierzchowne potraktowanie problemu. Nie draży głębszych motywów, racji lub wartości. Pokazuje jakąś naskórkowość życia. Ale spełnia zadania, które stawia sobie każdy teatr: pobudza wrażliwość na te problemy...

Czyż trzeba jeszcze coś dodać do tych, wypowiedzianych, oczywiście, również i przez pedagogów, uwag i refleksji? Chyba tylko to, że ktokolwiek będzie miał okazję zobaczyć na scenie sztukę Gawlika — a przypomnijmy: grana jest ona także w Łodzi — powinien jak najrychlej z niej skorzystać.

HENRYKA WITALEWSKA